

TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 10. **Poznań, dnia 5 marca 1870.** **Rok II.**

Milion na poddaszu,

Obrazek z niedawnéj przeszłości

przez

Jana Zacharjasiewicza.

(Dalszy ciąg.)

XVIII.

Nazajutrz leżał podkomorzyc chory w swoich eleganckich apartamentach. Po wszystkich bowiem salonach warszawskich rozbiegła się wieść, że szedł przez Krakowskie Przedmieście z szambelanową, która miała futrzaną czapkę na głowie, salopę obszarpaną i duży kosztur w ręku. Podkomorzyc niósł dla niéj pietruszkę, buraki i selery w jednéj ręce, a w drugiéj gęś, czy kaczkę, jak niektórzy utrzymywali. Wnuczka szambelanowéj, która jest wcale miłą kuchareczką, niosła sér i jaja i miała na głowie kapelusz szambelanowéj z czasów Stanisława Augusta.

Wieści takie, mniéj więcéj dowcipem opieprzone, mogły każdego człowieka zabić. Podkomorzyca nie zabiły wprawdzie na śmierć, ale położyły go do łóżka, bo sam już nie wiedział, jak sobie dać radę!

Pozycya jego była zachwianą, jeżeli nie zupełnie stracona. Stał się śmiesznym, czego najrozsądniejsi i najpoczciwsi ludzie nigdy nie darują — a co jeszcze gorsza, że jest krewnym tak wielce podupadłéj familii, z czego wniosek naturalny wypływa, że i on nie ma fortuny, jeźli krewnéj swojéj pozwala tak imie swoje szargać po błocie warszawskim.

Nieszczęście więc podkomorzyca było skomplikowane, a nie było sposobu, aby mu jak poradzić! Cóż bowiem uczynić? Czy wyprzeć się wprost wszystkiego? Nie uwierzą, bo wielu było świadków! Szambelanowa naumyślnie zaprowadziła go na Krakowskie Przedmieście! Wszyscy go widzieli!... A miałże się także wyprzeć pokrewieństwa z biedną kobietą? I to było niepodobne. Od wczoraj przestudiowano już w tym celu całego Niesieckiego i uzupełniono go najświeższemi naprędce pozbieranemi datami, z czego dowiedziano się z najdrobniejszemi szczegółami w jakim stopniu pokrewieństwa stoi podczaszyc do szambelanowéj w czapce futrzanéj! Do tego szambelanowa, która jest trochę głucha, mówiąc do niego, nazywała go głośno i to nawet z pewną ostentacyą kuzynem i bardzo wiele mówiła o podupadłych rodzinach F., do których oczywiście i on należy!...

Takie myśli przechdziły przez głowę podkomorzyca, a nie wiedział na nie lekarstwa!

Ale nagle strzeliło mu coś do głowy. Jest już w naturze każdego nieszczęścia, że równocześnie przynosi ratunek dla człowieka, byle tylko człowiek umiał ten ratunek dojrzeć i go pochwycić.

Zdawało się podkomorzycowi, że ten ratunek dojrzał, i że należy natychmiast wziąć się do niego.

Z tą myślą wróciły zaraz i siły jego. Wstał, ubrał się we frak, wziął białe rękawiczki i wyszedł.

Ratunek ten był heroiczny, ale innego sposobu nie było. Naśladował on w téj chwili wygłodniałą i do rozpaczy przywiedzioną załogę fortecy, która chcąc omylić oblężeńców, wylewa poza mur ostatki wody i wyrzuca wiktuały. Chodziło tylko o to, czy oblegający nieprzyjaciel da się omylić i korzystną kapitulacyą ofiaruje!...

Podkomorzyc siadł do doróżki i kazał się zawieść na Nowy świat, do wojewodziny.

Sędziwa wojewodzina jak zazwyczaj, miała dzisiaj u siebie większe zebranie. Był to dom bardzo gościnny a osobliwie słynął z pewnego przymiotu bardzo chwalebnego. Wojewodzina była rodu starożytnego, nie obawiała się więc przyjmować u siebie towarzystwa, które jeszcze nie miało kwalifikacyi do innych salonów nowszego pochodzenia. Wojewodzina bowiem, kogokolwiek w domu swoim przyjmowała, była zawsze wojewodziną, podczas gdy dom nowo powstały starał się o towarzystwo nieposzlakowanych rodów, które niejako nowemu domowi brakującego mu blasku dodawały. — Wojewodzina miała ten blask starego klejnotu, nie obawiała się zetknięcia nawet z kwasami, które zazwyczaj zdzierają złotą maskę z każdéj imitacyi kruszcowéj.

Bogata w tradycyą rodu i cnoty domowe, przyjmowała u siebie wszystkich bez skrupulatnego rostrząsania. To téż dom jéj był najliczniéj odwiedzany. Przychodzili tam ludzie zupełnie nowi, o których antenatach Niesiecki wcale nic nie wspomniał, a wojewodzina jak najchętniéj wprowadziła ich wtedy w stósunki z dawnyswymi znajomymi, jeśli tego była potrzeba.

Osobliwie kobiety, które poczuwszy się na siłach na fortunie chciały do bractwa wielkiego medalu się zapisać, składały zazwyczaj w jéj domu examen, czy mają do tego kwalifikacye, czy muszą jeszcze niejaki czas zostać katachumenami. Wojewodzina otwierała im chętnie swoje salony i okazywała ich zgromadzeniu w świetle jak mogła najkorzystniejszem, a wyrok zostawiała całemu towarzystwu.

Miała ona na stanowisku swojem tę zasługę, że podupadające wyższe towarzystwo salonów warszawskich zasilała nowym rekrutem. Jéj dom był niejako obozowiskiem wszystkich ochotników i nowo zaciężnych, z których salony wybierały sobie armią regularną, dobrze wymustrowanych żołnierzy.

Wprawdzie wcisnęło się tam także nie mało hołoty i ludzi różnego autoramentu, bo kontrola w takim razie nie była nader ścisła. Nie ubliżało to jednak wcale domowi, który miał jak najlepsze chęci, ani towarzystwu, które się tam zbierało. Hołota i inne makuły oddzielały się samem ugrupowaniem towarzystwa i najczęściéj jak plewy odpadały za pierwszym podmuchem wiatru.

Tak sobie rozmawiali ci, którzy tam chodzili, bo z takiem rozumowaniem było im najwygodniéj. A rozczarowania te nabierały w obec dobréj piwnicy i wyśmienitéj kuchni szanownéj gospodyni wszelkich cech najzdrowszéj logiki.

Zresztą świat wielki potrzebuje tylko pewnych form, a na resztę jest po chrześcijańsku nadzwyczaj pobłaźliwy. Byle tylko pozory były dobre i godziwe, byle tylko na oczy własne nie widziano!

Podkomorzyc bardzo dobrze obliczył, że wystąpienie jego w takim zebraniu nabiera rozgłosu na całą Warszawę. Wszystkie prawie warstwy i zawody społeczeństwa były tam reprezentowane. Każde więc słowo tam wymienione, odbije się stokrotnem echem po całem mieście, zacząwszy od Pragi aż do Mokatowa!

Tylko jednéj rzeczy nie obliczył... nie obliczył swego sukcesu!...

— Czy to prawda mości podkomorzycu, zapytała go zaraz na wstępie generałowa Z** On dit...

— Wszystko prawda, madame, odparł śmiało podkomarzyc — niosłem kurę, jaja i śmietanę za moją krewną panią szambelanową, która jest ekscentryczną dziwaczką, ale ma — milion gotówką!

-- Milion! milion! wołano zewsząd — więc to prawda! Milion! Milion! C'est abominable!

— Tak jest, mówił podkomorzyc podniesionym głosem, sam widziałem rachunki na własne oczy, a nawet za kilka dni mam jako jéj plenipotent jechać do Londynu, aby tam niektóre sumy podnieść...

Głucha cisza powstała w salonie. Było to uszanowanie dla — miliona!...

Podkomorzyc wygrał sprawę. Darowano mu kurę, jaja i cebulę, które niósł, darowano szambelanowéj jéj czapkę futrzaną i kosztur duży — darowano poddasze jako wybryk splenowy, bo miała — milion!

Podkomorzyc tryumfował.

— Czy to prawda, że ma wnuczkę przy sobie? pytały kobiety.

— Prześliczną jak anioł Rafaela! odparł podkomorzyc i zagryzł usta.

— Jakto! Ma milion i ładną wnuczkę! krzyknęła niska, fertyczna dama, która w téj chwili przybiegła prawie bez tchu do podkomorzyca i konwulsyjnie za rękę go ścisnęła.

Mimo hojnie nałożonego bielidła, zbladła dama i zachwiała się...

Nikt nie mógł pojąć ani zrozumieć co to znaczy! Wszyscy zdumieni spojrzeli po sobie.

Nawet Podkomorzyc stał niejakiś czas nieco zdziwiony.

— Podaj mi pan rękę, rzekła do niego drżącym głosem, i odprowadź mnie do fotelu... jakie tu nieznośne gorąco!...

Podkomorzyc podał jéj szybko rękę i zwrócił się do najbliższego fotelu. Dama jednak ominęła ten fotel, a ciągnąć podkomorzyca za sobą, skierowała swe kroki do małéj kanapki, umieszczonéj na boku we framudze okna.

IXX.

Nowina, jaką podkomorzyc przyniósł do salonu wojewodziny, sprawiła na całem zgromadzeniu niezmierne wrażenie. Milion to przecież nie jest rzeczą obojętną, a milion w gotówce to znaczy dziesięć razy więcéj, niżeli jakieś tam prenotacye na hipotece!

Jedni więc mówili o tym milionie jak finansiści, inni objaśniali go złośliwemi uwagami, ale wszyscy mówili o milionie. Robiono z powodu tego miliona różne kombinacye, a osobliwie kobiety tak się tym milionem przejęły, że niektóre posmutniały, a inne ogarnęła jakaś dziwna, nie wytłómaczona gorączka. Matki z córkami i ciocie z swemi pupilkami zaczęły coś szeptać.

Aby to wszystko zrozumieć, wypada nam bliżéj zapoznać się z towarzystwem.

Towarzystwo znajdujące się u pani wojewodziny, miało wszelkie cechy społeczeństwa, które po wielkich katastrofach zaczyna się na nowo organizować. Jest to poruszenie pojawiające się zawsze po wypadkach dziejowych.

Wiek ubiegły zamknął pewien okres dziejów. Ludzie, którzy ten okres stanowili, wypadli z ról swoich, a na ich miejsce wchodzili nowi. A co się jeszcze z dawnego autoramentu zostało, to zużyło się w pierwszych piętnastu latach nowego stulecia, szukając cichych grobów po twardym znoju i zawiedzionych marzeniach.

Wielkie rady historyczne, które jak karyatydy dźwigały dawny porządek rzeczy w ubiegłym stuleciu, straciły w nowem cały fundament, na którym oprzećby się mogły. Odeszły więc na bok, bo nowy porządek rzeczy nie miał dla nich miejsca. Podupadli i zubożeni wysileniami ostatnich piętnastu lat, abdykowały po większéj części z przewództwa w społeczeństwie i skryły się w zaciszną ustroń, żyjąć tam wspomnieniami i tradycyami tego, co już dla nich minęło.

Wydarte te luki w społeczeństwie, potrzeba było innemi ludźmi obsadzić. A takich ludzi było teraz bardzo wiele.

Wołyń, Podole, Ukraina, a nawet w części Ruś Czerwona, obfitowały podówczas w takich ludzi. Były tam bowiem kolosalne fortuny wielkich panów polskich, dzierżących w autoramencie Rzeczypospolitéj wysokie dygnitarstwa. Te fortuny powierzano częstokroć radzcom, plenipotentom, ekonomom, którzy tam gospodarowali i pewny zarobek panom do Warszawy posyłali. W ógóle majątki w tych częściach Rzeczypospolitéj uważała wysoka szlachta za kolonie niemal w tem samem znaczeniu, w jakiem uważa Anglia Indye swoje. Byli tacy którzy tych majątków nigdy nie widzieli tylko z raportów sług swoich mieli jakieś o nich wyobrażenie.

Ztąd poszło, że w tych ziemiach wielu pracowitych ludzi znalazło korzystne zatrudnienie, którzy szczędząc grosz, do grosza przyśli jako homines novi do bardzo znacznych fortun. Nie obeszło się i bez malwersacyi. Zbyt oddalonych panów okradano po prostu, obecnym schlebiano drażniąc w niegodziwy sposób różne słabości ludzkie. Bardzo więc często zdarzało się, że kamerdyner sprytny, pisarz prowentowy lub ekonom prowentowy, lub ekonom prosty, odziedziczali potem magnackie prawie fortuny, przy których nic już sobie innego nie życzyli, jak tylko jakiego takiego wzięcia u ludzi.

Osobliwie ostatnich lat kilkanaście sprzyjały takiemu panoszeniu się dawnych sług dworskich. Nowy porządek rzeczy zagroził tam fortunom ludzi, wybitniejsze stanowisko w dziejach zajmującym, a niektórzy znowu z nich, poczuwali się do pewnych ofiar dla tegoż społeczeństwa, z którego wyrośli. A że to były właśnie czasy ofiar i nadziei, jako téż niemniéj czasy obawy i trwogi, to wiele wielkich fortun kazano tam poprzedawać, za co tylko można było.

Tu było pole największych nadużyć. Plenipotenci i ekonomowie, którzy już jakiś grosz mieli w zapasie, korzystali z położenia rzeczy, a pomnażając obawę panów swoich widokami sekwestru lub konfiskaty, zmuszali ich do pozbycia się tych fortun za bezcen, czasem nawet przywłaszczano je sobie po prostu pokrywając to jakiemiś wymyślonemi pretensyami.

Otóż między innymi, którzy uczciwą pracą czegoś się dorobili, wstąpili także i tacy do wydartych luk w społeczeństwie. Dopominali się oni o miejsce w tych lukach, jakie zazwyczaj zajmują ludzie odznaczający się wielką fortuną.

Ale historya podobnych fortun nie była zawsze czysta. Ponieważ zaś jedna, druga i trzecia fortuna nabytą była przez malwersacye, i dla tego dzisiejszych ich posiadaczy sprawiedliwą pogardę obrzucono, rozciągniono tę pogardę albo przynajmniéj lekceważenie na wszystkich tak zwanych dorobkiewiczów czyli ludzi nowych.

Z takiego stanu rzeczy wypłynęła u tych ludzi konieczna potrzeba notowania pozycyi swojéj, jaką im nadawały fortuny. Przy fortunie odzywały się inne, nawet szlachetniejsze pragnienia, którym jednak trudno było zadość uczynić, nie będąc w harmonii z otaczającem społeczeństwem. Tu dysharmonia tem więcéj dokuczała, im większe były fortuny!

Potrzeba było jakoś temu dokuczliwemu złemu zaradzić. Dwie drogi ku temu stały otworem. Próbowano jednéj i drugiéj.

Jedna z tych dróg była dosyć łatwa, ale nie zawsze prowadziła do celu. Była to droga pogodzenia się z nowym porządkiem w kraju. Wtedy nie trudno było o zaszczyty i honory. Droga ta jednak nie wydała zaraz owocu. Dysharmonia w otaczającém społeczeństwie trwała daléj, a często nawet stawała się większą. Do pożądanego owocu potrzeba było najmniéj jednéj generacyi.

Druga droga praktykowana powszechnie, zmierzała głównie do podszywania się pod cudzy klejnot szlachecki. Byle tylko podobne nazwisko znaleść w Paprockim, to już była sprawa wygrana. Znaleźli się zręczni, nowożytni heraldycy, a nobilitacya byłego sługi dworskiego poszła gładko jak po maśle. Wtedy zazwyczaj wieszano herb olbrzymi nad bramą, i uczono się z całą starannością wszelkich nawyknień i przywar rodowéj arystokracyi, które brano za istotne i jedyne zalety.

Trzecia droga była najlepsza i najprędzéj prowadziła do celu. Było nią mięszanie się z rodami staréj szlachty przez małżeństwa, przez co jedni drugim udzielali tego, czego jednym i drugim nawzajem brakowało. Jednym brakło fortuny, drugim czystéj krwi szlacheckiéj, a jedni i drudzy myśleli, że z takiemi brakami przyzwoicie żyć nie można!

Takie wzajemne mieszanie się społeczeństwa następuje zawsze po wielkich, dziejowych katastrofach, które jednych ogałacają z wszystkiego, a obok ogołoconych zupełnie nowych ludzi rodzą.

A pierwsze czasy Królestwa kongresowego były nader obfite w takie wydarzenia. Obok rodów podupadłych po za klęski krajowe, były także niedobitki ostatnich rozpustnych czasów Rzeczypospolitéj. Ojcowie z nowych w kraju rodów przetracili w szale bezwiednym w tych czasach wszystko, a pozostawili synów ogołoconych z fortuny, którym jakby na pokutę przekazano nazwisko, z którem nie można było schować się w zaułkach spo-

łeczeństwa. A fortuny nie było żadnéj, któraby mogła godnie podtrzymywać to nazwisko na szerszéj widowni świata.

To téż ludzie obciążeni nieszczęśliwie takiemi nazwiskami byli zmuszeni sprzedawać je za fortunę, i tym sposobem łączyć się małżeństwami z domami dawnych sług dworskich i dorobkiewiczów.

Jednym i drugim dobrze z tem było, bo co jedni z ochotą sprzedawali, to drudzy z równą ochotą kupowali.

Sprzedawano więc nazwiska nie pytając komu, ani za wiele? A z drugiéj kupowano te nazwiska, zaglądając tylko do herbarza, a niepatrząc bynajmniéj na człowieka, który tym razem był tylko — towarem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Jasna Góra.

(Z ryciną.)

Któż w całéj Polsce nie słyszał o Częstochowie i o sławnym obrazie Matki Boskiéj Częstochowskiéj na Jasnéj Górze? Któż przyciśniony nieszczęściem nie westchnął zbolałą piersią ku téj orędowniczce utrapionych? Z całéj Polski, ze Szląska, z Moraw i dalszych nawet stron, jeszcze przed wiekami spieszyli tutaj pobożni, ciągnęły liczne tłumy pielgrzymów, szukając ulgi w cierpieniu, lub składając dzięki za doznane łaski. Tu królowie polscy, we wszystkich ważniejszych chwilach dążyli z modlitwą do najwyższéj królowéj, tu hetmani po szczęśliwie ukończonéj wyprawie z modlitwą dziękczynną na ustach, składali na nieprzyjacielu zdobyte trofea; tu wreszcie cały naród w chwilach szczęścia i nieszczęścia zwracał się ku królowéj pełnéj łaski i cudów.

O cztery mile od Krakowa na drodze wiodącéj ku Warszawie, nad rzeką Wartą, wśród szeroko, na wiele mil ciągnących się równin, leży Częstochowa.

O pół mili od miasta, wznosi się J a s n a G ó r a, na któréj szczycie są warowne mury klasztoru OO. Paulinów i kościół gdzie się znajduje ów słynny na całą Polskę, obraz Matki Boskiéj. Historya obrazu jest następująca. Ma on jeszcze pochodzić z czasów Chrystusa. Wymalował go św. Łukasz, na desce z cyprysowego stołu, przy którym zwykła się była modlić Przenajświętsza Matka. Po zburzeniu Jerozolimy, przez długi czas nie wiedziano gdzie się przechowuje. Odszukała go dopiero św. Helena, matka Konstantyna Wiel. cesarza greckiego, która jako pobożna chrześcijanka, udała się była umyślnie do Jerozolimy dla odszukania tamże świętości pozostałych po Chrystusie. Odszukany i przewieziony wówczas obraz do Konstantynopola, darował jeden z następców Konstantyna, cesarz grecki, Karolowi Wielkiemu, który go przechował w Akwizgranie. Później darował go Karol W. jednemu z książąt szczepu słowiańskiego i tym sposobem obraz ten dostał się na Ruś do Bełza, gdzie dłuższy czas pozostawał. Podczas szturmu Tatarów do miasta utkwiła w nim strzała tatarska, po któréj ślad dotychczas pozostał. Z Bełza dostał się obraz Władysławowi Opolczykowi, siostrzeńcowi Ludwika króla węgierskiego i polskiego. Ten przenosząc się z Rusi do Opola, postanowił w skutek widzenia mianego we śnie, obraz święty umieścić na J a s n é j G ó r z e, zbudować kościół i sprowadzić z Węgier zakonników św. Pawła. Wkrótce téż zamiaru swego dokonał.

Takie są dzieje cudownego obrazu. Łaskami i przywilejami monarchów, zapisami możnych panów i hojnemi datkami pobożnych, przyszedł zakon OO. Paulinów do znacznych funduszów, które w każdéj potrzebie niósł chętnie na ofiarę ojczyznie.

Warowny ten klasztor przechodził wiele i różnych kolei wojennych. Najważniejsze jednak chwile nastąpiły za panowania Jana Kazimierza, gdy Karol Gustaw wojskiem swojem zalał całą Wielko i Małopolskę. Jan Kazimierz widział się zmuszonym schronić się na Szląsk do Opola. W tych nieszczęsnych chwilach, postanowili Szwedzi zdobyć twierdzę Jasnogórską, która im jeszcze sama jedna opór stawiła. W tym celu podstąpił dnia 18 listopada 1655 r. Szwedzki generał Müller w 9 tysięcy wojska, z 19 działami i rozpoczął oblężenie klasztoru Jasnogórskiego. Naprożno jednak przez sześć tygodni zacięte przypuszczali szturmy. Przeor ówczesny ksiądz Augustyn Kordecki bronił twierdzy wraz ze Stefanem Zamojskim, który jako doświadczony w wojnie, dowodził załogą klasztoru. Szczupła to była załoga. Składała się bowiem z 400 ludzi zdolnych do noszenia broni, w któréj to liczbie było 160 żołnierza, 68 mnichów i kilkudziesięciu szlachty. Na czele téj małéj garstki, Kordecki z krzyżem w ręku na murach twierdzy, odpierał nieprzyjaciela, zagrzewając broniących słowem i przykładem do wytrwałości. Sam był osobiście wszędzie, gdzie największe groziło niebezpieczeństwo; uszkodzone kazał naprawiać mury, doglądał armaty, broń rozdzielał, nad wszystkiem własnem okiem czuwał. Szturm był straszliwy. Po kilkakrotnie, pod siłą szturmu nieprzyjaciela, oblężeni wszelką nadzieję tracili. W takich to chwilach gdy z wałów twierdzy rozlegał się huk dział, muzyka umieszczona na wieży kościoła, grała pieśni pobożne na cześć Maryi Królowéj, a dźwięki jéj, nowéj wytrwałości i nowéj nadziei dodawały. Niepowodzenia te złościły bardzo Szwedów, Nie przypuszczali bowiem by tego, jak go nazywali k u r n i k a zdobyć nie mogli. Szkody wyrządzone w twierdzy, w stósunku do strat nieprzyjaciela były bardzo nieznaczne. Ksiądz Kordecki w ciągu całego oblężenia okazał się prawdziwym bohaterem... On to przykładem swoim potrafił obudzić w żołnierzu tyle wytrwałości i męstwa, że w końcu generał Müller, widząc iż nie zdoła zdobyć twierdzy, odstąpił od oblężenia w drugi dzień Bożego Narodzenia w nocy, a w jasnogórskim klasztorze brzmiały dziękczynne hymny i radość panowała wielka z powodu cudownego ratunku od pewnéj nieomal zguby.

Pamiętne to oblężenie opisał sam Kordecki w dziele któremu dał tytuł: G i g a n t o m a c h i a, dla tego, że potrzeba było siły Gigantów, czyli olbrzymów, żeby się oprzeć takiéj potędze. Za naszych już czasów postawiono mu pomnik na wałach Jasnogórskiéj twierdzy.

Zagrzany przykładem Częstochowy zaczął się krzepić upadły na duchu naród. Zawiązano konfederacyę tak zwaną Tyszowiecką i skupiono pod chorągwią Czarneckiego i hetmana Potockiego, rozrzucone siły kraju. Król zaś i królowa przez czas długi téj wojny w murach Jasnogórskich schronienie mieli.

Oprócz pamiątek historycznych posiadał skarbiec klasztorny nadzwyczajne kosztowności. Dziś wiele szaf stoi próżno, bo skarby co się tu niegdyś zawierały, poszły w różnych czasach na potrzeby kraju, którym z całą gotowością ten szlachetny zakon zawsze służył.

W ostatniem nieszczęśliwem powstaniu, nie jednokrotnie słabe siły ochotników polskich szukały schronienia w murach Jasnogórskich. Razy kilka przyszło tam



Jasnagóra.

nawet do krwawych utarczek z Moskalami, które w spóściźnie, prócz dowodów męstwa i idealnéj miłości ojczyzny nie zostawiły nic po sobie.

Pomimo tylu przejść okropnych, pomimo barbarzyństwa z jakiem Moskwa na wszystko się dziś rzuca, wyniosłe wieżyce klasztoru jak przed wiekami tak i dziś piętrzą się ku niebu z wiarą, że otoczone blaskiem i potęgą matki dziewicy, przetrwać potrafią burze. Jak przed wiekami tak i dziś, bogaty i biedny nie przestaje u stóp tego ołtarza, znajdować pociechę w strapieniach i nadzieję w lepszą przyszłość.

Korona Polska.

Hulały zastępy rycerskie Bolesławów po ziemiach pruskich, pomorskich, ruskich i niemieckich — od Dniepru do Odry, od Bałtyku do Karpat brzmiała sława Chrobrych a miecz dzielnego króla wyszczerbiał się na bramach Kijowa i na karkach wrogów. Polska w X i XI wieku to młodzieniec, co poczuł w sobie siłę męzką; kipi i wre życiem, czas marzeń młodzieńczych minął, pragnie czynu. Jéj przywódzcą król bohater, ów lew ryczący, Słowianin wróg Niemców, lis przebiegły i chytry, amator biesiad i pijatyki, jak go Niemcy zwali — chłop olbrzymi i gruby, że się pod nim koń uginał, że go Błud, czarnoksiężnik ruski, zwał odyńcem. Dla Polski tytan, co mierzy się z potęgą cesarstwa — myt, gdyby jego postać i czyny dziejowe, nie przekazane nam były piórem kronikarskim. Polska ówczesna to nie lenniczka cesarzów niemieckich za Mieczysława I, co pokornie siedząc na ławie w przedpokoju cesarskim, bije czołem na widok oblicza wszechwładzcy. Bolesław Chrobry to nie prosty już comes lub duk, to nie pokorny niewolnik cesarzów, to pan-monarcha niezależny, co słupami wbitemi w Dniepr, naznacza granice Polsce na wschód, a na zachodzie każe uznawać swą potęgę Ottonowi III. Zjeżdża władzca niemiecki do Gniezna, bosą pielgrzymkę odbywa do grobu św. Wojciecha i zdobi skroń królewską własną koroną — obdarza włócznią św. Maurycego, częścią gwoździa z Chrystusowego krzyża i złotém krzesłem tronowém, wyjętém z grobu Karola Wielkiego w Akwizgranie.

I z rokiem 1000 zajaśniała korona polska na głowie bohatera-króla. I odtąd jéj dzieje, miały zrosnąć się z historyą narodu polskiego. Odtąd jéj losy stały się losami całego narodu. Jéj pojawienie się ogłasza światu potęgę młodego państwa, jéj zniknięcie, boleść i niedolę kraju, koniec bytu politycznego Polski.

Z gaśnięciem świetnéj gwiazdy bolesławowskiéj niknie i korona polska, uwozi ją Ryksa i oddaje w ręce cesarskie. Dopiero roku 1040 odzyskaną została przez Kazimierza Mnicha, wnuka Bolesławowego, ale nie długo już jaśniała na głowach królewskich, brak silnéj dłoni, coby krajem rządziła, podział Krzywoustego, co zerwał jedność państwa i wyprowadził na jaw waśnie i kłótnie drobnych książąt, brak wogóle jednego pana uniemożebnił używanie korony Bolesławowskiéj. Tym sposobem od r. 1077 do 1295 spoczywała korona w Gnieźnie. Dopiero Przemysław stwarza jedność państwa i dnia 26 czerwca r. 1295 koronuje się więc w Gnieźnie, lecz nie długo jéj używa, w następnym roku bowiem 6 lutego zamordowanym został w Rogoźnie. Od r. 1300 przez 5 lat nosi ją Wacław, król czeski. Dopiero Władysław Łokietek jednoczy rozerwane państwo — zyskuje pozwolenie papieża i koronuje się koroną Bolesławowską roku 1319, 26 stycznia w Krakowie. Ze zmianą stolicy, przeniesiony też został skarbiec koronny z Gniezna do Krakowa. Odtąd też korona Bolesławowska służyła do stałego namaszczania królów z małemi wyjątkami. Tak n. p. Jagiełło i Jadwiga koronowali się umyślnie zrobioną koroną, gdyż Bolesławowską wywiozła do Węgier Elżbieta, królowa węgierska, matka Ludwika, króla węgierskiego i polskiego. Dopiero traktatem w Luboczu, przez Zygmunta Luksemburczyka, króla węgierskiego, zwróconą została Jagielle.

Ludwik Andegaweński (d'Anjou), zwany przez Węgrów Wielkim r. 1370, koronował się koroną węgierską. Stefan Batory r. 1572 użył korony podobnież węgierskiéj. Zygmunt Waza, Szwed r. 1586 przyniósł szwedzką.

Czasem téż chwile wojennych zaburzeń nakazywały ukrycie skarbca, jak to miało miejsce w czasie koronacyi Augusta III, gdy koronę w Częstochowie schowano. Król kazał sobie zrobić dla koronacyi srebrną pozłacaną w Wrocławiu, bo niepodobna było z powodu formalności, dobyć starą koronę z Częstochowy. Tę téż nową darował do częstochowskiego skarbca jako votum, gdzie się zaś stamtąd podziała, wiedzieć trudno. Często téż ścisłe przepisy, jakich przy otwarciu skarbca przestrzegano, nie pozwoliły użyć Chrobrowskiéj korony do ceremonii królewskiego pogrzebu, zastępowano ją złożeniem przy katafalku naśladowanéj, lub téż użyciem innéj, jak to miało naprzykład miejsce w czasie, gdy w Krzyszynie zmarł Zygmunt August. Często klejnoty nasze w zastawie bywały, jak n. p. w r. 1699, u brandeburskiego elektora za 300000 talarów i wielekroć przedtem.

Z tego cośmy dotychczas powiedzieli pokazuje się, że było kilka koron, a lustracya skarbca z r. 1730, pozwala nam opisać każdą z kolei:

a) korona Chrobrowska, dar Ottona III, zwana originalis, privilegiata. Liczyła 10 łuków nasadzanych 474 rubinami, szmaragdami, szafirami i perłami. Kamienie we wszystkich porcyach nieszlifowane, na wierzchu korony jabłko z krzyżykiem. Dodać tu należy, że korona ta okazała się za wielką, na ufryzowaną głowę ostatniego króla Stanisława Augusta, musiano ją podwatować;
b) osobnéj korony używano dla królowych. Była ona szczerozłota, mieściła w sobie porcyi 7, w każdéj porcyi rubinów 5, szafirów 5, pereł 8;
c) homagialis używana przez książąt lennych, szczerozłota, porcyi 9, we wszystkich rubinów 45, tyleż szafirów, pereł 89;
d) węgierska, w każdym łuku 4 szafiry wielkie;
e) szwedzka. 5 mniejszych porcyi; 31 szmaragdów, 14 szafirów, 60 rubinów, 20 dyamentów, 123 pereł. Lustracya wylicza jeszcze 4 berła i 5 jabłek.

Nadto były jeszcze korony: Moskiewsko-carska przekazana Rzeczypospolitéj testamentem Władysława IV, a oddana r. 1674 i wreszcie Funebralis, korona pogrzebowa. Do trumny dawano królom zwykle tylko naśladowane pozłacane insygnia. Zachodzi teraz pytanie, gdzie się podziały te korony, jak również i wiele innych naszych zabytków narodowych. Nic pewnego o tem nie wiemy, rzucają wiele jednakże światła na tę kwestyą pamiętniki Ksawerego Kratzera. Ów Kratzer (urodzony r. 1740) pełnił podczas pobytu Prusaków w Krakowie urząd kantora katedralnego i mieszkał w zamku, był więc tego, co się działo, naocznym świadkiem. Ustęp z tych pamiętników przytaczamy z książki pana Łepkowskiego pod tytułem: „Z przeszłości szkice obrazy.“

„Stali Prusacy w Krakowie i okolicy aż do czasu, gdy się ostatni podział Polski zdecydował. Niejaki Z...... wysłużony kapitan artyleryi polskiéj był wtedy magazynierem w zamku i żywił się z rodziną swoją przy Prusakach. Gdy widział że mu bieda zagraża, powziął myśl haniebnego zabezpieczenia sobie przyszłości. Udaje się tedy do Ludwika Antoniego von Hoym, tajnego konsyliarza i pełnomocnego komisarza Jegomości króla pruskiego w Krakowie, oświadczając, że jeżeli mu wyjedna urząd dostatni, to wskaże miejsce, gdzie skarbiec koronny ukryty... Stało się zadość życzeniu bo Z...... dostał nominacyą na komisarza porządku w Częstochowie z pensyą roczną 180 talarów i mieszkaniem. Dopełnia tedy Z...... obietnicy, ostrzegając, że trzeba biegłego ślusarza do otwarcia zamku, a dla uniknienia w mieście tumultu, lepéj majstra takiego zkądinąd sprowadzić. Posłano więc do Wrocławia po cechmistrza ślusarskiego: tymczasem nadchodzi wiadomość, że wojska austryackie mają zająć województwa sandomierskie, lubelskie i krakowskie. Trzeba się było spieszyć. Przybywa wreszcie ślusarz ów z Wrocławia; więc von Hoym, sekretarz jego Lang, generał-major Leopold von Rüts i starsi wojskowi udają się na otwarcie wskazanych drzwi. Usiłowania majstra chcącego pilnie usłużyć okazały się bezskuteczne. Pan generał radził zatoczyć armatę, twierdząc, że jednéj kuli dość na otwarcie okutych wrót. Kowalski murgrabia zamku zreflektował gorących, że wystrzał wstrząśnie i zawali sklepienie. Przywołano tedy krakowskiego majstra ślusarskiego Franciszka Weisa, ten obejrzawszy drzwi, osądził, że innego nie ma sposobu, tylko spodni węgar wybić, tak aby się tam człowiek pod nie przecisnął i rygle z wnętrza nasunięte otworzył. Rada praktyczna, więc stanęło na tém i wyrąbano próg kamienny; otworem wpełzł majster, krzyżowe rygle odsunął i drzwi otworzył. Oddalono przytomnych, a tylko Hoym, Lang, Rüts i murgrabia Kowalski, weszli do sklepu. Wzięto zamknięte i zapieczętowane puzdro i... to karetą gubernatora do mieszkania jego odwieziono. Z...... czekając na dziedzińcu, oświadczył gubernatorewi, że w komnatach królewskich nie wiele co znaleść się może. Odebrano tedy Kowalskiemu klucze od pokojów pałacowych z poleceniem, aby się jutro z domu nie oddalał, aż przyjdą. Nazajutrz z rana przybyli znów Hoym, Lang, Rüts i komendant zamku major Mask. Na pokojach Lang prenotował sprzęty, a niemi się wedle stopni dzielono.

Pozwolono brać i kapitanom, ober i unter leitnantom, feldfeblom, kapralom i knechtom nawet. Gdy zabrano sprzęty, lustra, obicia, opony, stoły i stołki, wyjmowano nawet okna i posadzki, odrywając zamki, zabierając wreszcie drzwi w fasony cięte. Tak pałac królewski stał się i bez wojny pustką a ruderą, jakby po ogniu... Murgrabia Kowalski, drzwi główne wchodowe żelazem okute zamknąwszy, ze zgryzoty zaraz zachorzał i umarł. Stróż więc zamkowy Urban klucz od bramy owéj oddał Prusakom. To wszystko stało się w końcu 1795, bo 5 stycznia 1796 r. wojsko austryackie Prusaków obluzowało w Krakowie. Austryackiemu generałowi Toulonowi oddali Prusacy to, czego już zabrać nie mogli, oświadczając, że zamek zdają jak zastali, nie tknąwszy go. Z całą uprzejmą grzecznością i wiarą przyjął to oświadczenie austryacki generał." Zadziwi kogo może, mówi daléj pan Łepkowski w wyżéj wymienionéj pracy, że tak ważnego faktu licznemi świadectwami i cytatami poprzeć nie można? Odpowiem, iż to były chwile straszne, zdawało się, że i ziemia ojczysta zpod nóg się usuwa — Kraków, w którym za Jagiellonów 2138 kamienic i 80000 ludności było, miał teraz 5000 ubogich mieszkańców, żyjących w walących się i drągami podpartych domach. Wszysko pod naciskiem siły uległo, a zwątpienie rozpacz rodziło. Rozbitki kapituły i profesorów akademii (którym dopiero rząd austryacki pensye wypłacać kazał) sami jedni stanowili inteligencyą w Krakowie. Ci nawet po wsiach rozproszyli się, a najzacniejszy między nimi Jan Śniadecki siedząc w Żywcu, pisał wtedy geografią... Trudno aby w czasach ucisku takiego zasełać miano do Europy skargę na bezprawia, — zresztą ludzi już u nas wtedy nie było.

Wincenty Sarnecki.

ROZMAITOŚCI.

Odbieramy pismo następujące jako dodatek do ustępu, zawartego w ostatnim numerze „Sobótki" z niewydanéj Hygieny dr. K. Gregorowicza: „O wpływie muzyki na zdrowie".

Sławny pisarz francuzki Vicomte Walsch, opisuje w dziełku swojém pod tytułem: Wycieczki po Bretanii, następujące zdarzenie, którego naocznym był świadkiem.

„Przybywszy z przewodnikiem naszym do wioski Vernes w Bretanii, powzięliśmy zamiar odwiedzenia miejscowego, zgrzybiałego już wiekiem plebana. Powiedziano nam atoli, że nie ma go w domu, ale znajduje się w kościele z pewną chorą bardzo osobą. Udaliśmy się zatem do świątyni. Tu ujrzeliśmy dwie niewiasty, z których jedna młoda, najwyżéj 16 do 18 lat licząca, blada jak trup i cała w bieli, siedziała na krześle, druga zaś, średniego wieku niewiasta, klęczała obok niéj i łzami się zalewając, gorąco się modliła. Kapłan staruszek zaczął grać na organach jedną z onych smętnych i melancholijnych kompozycyi Hendla. Spojrzałem teraz dokładniéj na dziewicę, w krześle siedzącą i uderzyła mię przedewszystkiem nadzwyczajna jéj bladość i nieruchomość, bardziéj ją czyniąca podobną do białego marmurowego posągu, aniżeli do żywéj ludzkiéj istoty. Cierpienie jéj głównie na tém się zasadzało, że nie mogła płakać. Nie dawno bowiem temu, utraciwszy przez śmierć jedyną swoją ukochaną siostrę — bliźniaczkę, popadła właśnie dla tego, że w skutek nieutulonéj żałości płakać nie mogła, w ciężką melancholię i zupełne odrętwienie.

Wtenczas to sędziwemu, doświadczonemu kapłanowi przyszło na myśl, piosenkę, którą obie siostry nieraz i to bardzo chętnie wspólnie dawniéj śpiewały, przegrać na organach, spodziewając się, że tym może sposobem biednéj młodéj istocie łzy wycisnie, a tém samem ulgę sprawi.

Tekst piosenki, układu A. Chateaubrianda był następujący

„Te souviens — tu que notre mère,
Au foyer de notre chaumière
Nous pressait sur son coeur joyeux,
Ma chère?
Et nous baisions ses blancs cheveux,
Toutes deux?"

I o cudo! zaledwie staruszek zaczął przegrywać onę rzewną melodyę, dziewica dotąd nieruchoma, wzniosłszy zwolna rękę, dotknęła się nią czoła — wkrótce potem tak silne nastąpiły serca uderzenia, że biednemu dziewczęciu śmiercią zagrażać zdawały. Wtém nagle dwa duże łez potoki rzuciły się z wyschłych jéj dotąd oczu, a powstawszy z krzesła, rzekła wśród łez przytłumionym nieco głosem: „Ah! jak mi błogo kochana matko! teraz mi już lżéj, teraz mi lepiéj! mogę znów oddychać!"

Ucieszona tém niezmiernie stroskana matka, z okrzykiem radości wzięła córkę, ściskając ją i całując, w swe objęcia, a potém padłszy obie na kolana, zasyłały gorące swe modły dziękczynne przed tron Najwyższego.

Tak pod wpływem muzyki dziewica od niechybnéj wybawioną została śmierci.

Ks. J. N. K.

KOCHAJ!

Wiersz dla panny Anny ***

deklamowany na koncercie p. Stanisława Szczepanowskiego.

Kochaj, dziewczyno — o kochaj szczerze:
Prababek twoich święte pacierze.
Czcij pamięć ojców, bo ojce twoi,
Bieli orłowie w skrzedlatéj zbroi,
To męczennicy najświętszéj sprawy,
Lub bohaterzy z szańców Warszawy.

A potém kmiece ukochaj chaty,
Boś córą ludu, dziewcze liliowe,
Bo przed ich niską strzechą przed laty —
Król, ojciec — chłopków pochylał głowę.

Ukochaj lud ten dzielny, poczciwy,
O złotem sercu w siermiędze siwéj,
Co na głos wodza pod Racławice,
Na miecz przekował lśniące kosice.

Kochaj wrzeciono, bo przy wrzecionie
Siedziała nieraz pani w koronie,
I srebrne pasma snuła bez sromu,
Na przyozdobek bożego domu.

A nadewszystko miłością czystą
Kochaj — a kochaj ziemię ojczystą,
I kiedy przyjdzie godzina czarna,
Dla niéj — jak gołąb stań się ofiarna.

A gdy na wielkich łask swych zadatki,
Bóg da ci nosić nazwisko matki,
To wtedy, wtedy, niech twój maleńki,
Miast czarek szablę weźmie do ręki,
Rycerską zbroję włóż mu pod głowę,
Do snu mu pieśni śpiewaj bojowe,
Niech już w kołysce marzy zuchwale:
O dawnéj sławie — o przyszłéj chwale!

Wł. Bełza.

Następujące aforyzmy cytowane w VI. numerze Omnibusu, a wyjęte z Somatologie de la femme powtarzamy tu w tłumaczeniu:

„Trzy istoty idą wprost do celu, zdając się od niego oddalać, dyplomata, rak i kobieta...“

„Kobiety mają oczy, które umieją widzieć nie patrząc. Kobieta gdy chce kogo zobaczyć, spostrzeże go wśród sta, wśród tysiąca.“

„Oczy mężczyzny stworzone są do patrzenia, kobiety aby w nie się wpatrywano.

„Kobiety mają zmysł, który oznajmuje o niebezpieczeństwie jakiémś duszy drżeniem. Giętsze są od mężczyn, wrażliwsze od nich i łatwiéj ustraszyć się dające. Czém dla mężczyzny światło, tém dla kobiety ciepło.

„Kobieta jest rodzajem klepsydry, w któréj dwu naczyńkach piasek się przesypuje... ciągle. Jednę z nich stanowi głowa, drugą serce; gdy jedna próżna, drugie pełne i odwrotnie.“

„Siłą kobiety jest słabość, ona jest jéj wrodzoną; używa téj broni bez rozmysłu, instynktowo, gdy chce, umie się wydawać słabszą niż jest w istocie, zmienia karłów w olbrzymy i rozbraja.“

„Kobieta jest szkołą, uczniowie jéj nigdy lekcyi nie umieją i nigdy nie mają wakacyi.“

„Kobieta ma jednę więcéj od mężczyzny broń, którą się posługuje po swojemu — są nią łzy.“

„Tytus uważał za stracony dzień, w którym nikogo szczęśliwym uczynić nie mógł; kobiety naśladują Tytusa, ale liczą na.“ —

„Gdy dwóch przyjaciół pokłóci się o kobietę, badźcie pewni, że oni oba niewiele są warci, a kobieta nicpotém.“

„Mąż jest formalnością tylko, dla tego męża się nikt nie wstydzi; kochanek jest wyborem własnym, przyznaje się do niego z obawą.“

Zadanie konikowe.

	1.	2.	3.	4.	5.	6.	7.	8.
A.	ją.	od	i	ro-	czy-	swą	zy-	zna-
B.	śpie-	co	na-	nich	cy,	bią	po-	na-
C.	bo	ca-	i	cy	mię-	u-	czne	mu-
D.	nia,	wa	ją	wro-	ka-	ci	pier-	kę
E.	łość	gi	rze-	cie-	zna-	zy-	cie	wu-
F.	stwo-	nia.	leń-	ci.	le,	bio-	bra-	wsze
G.	ma-	pol-	zni-	dru-	trze-	na-	cie-	trze-
H.	szcze-	kie	cie:	skiéj	rach	gie,	i	széj

Szarada.

Dziwne żywioły wchodzą w mój skład,
Niech głowę suszy, kto na to chwat:
Piérwsze litera,
Drugie litera,
Trzecie litera,
Czwarte litera,
Piąte litera,
Prawda to szczera,
Szóste daje, wszystko wraca,
Zgadnąć ciężka będzie praca.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 9.: ***Odalanów.***)

Korespondencya Redakcyi.

Panu T. C. w Zab.: Być może późniéj użyjemy. — Panu J. Grzeg. we Lwowie: Do żądania zastosujemy się. — Co do nowéj pracy pańskiéj, wprzód musi ona być nam znaną. Honorarium płaci się zwykle po ukończeniu druku. — Panu X. X. z pod Nachowa: Nie do użycia. — Panu S. P. w K. pod K.: Jednę z nich zatrzymujemy. — Panu Hamletowi w Poznaniu: Tylko oryginalne prace mogą w Sobótce miejsce znaleść. Panu Karolowi Zub. w Galicyi: Listownie warunki nasze zakomunikujemy.